



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Hanna Eustachiewicz

Krótkie okupacyjne wspomnienie

W 1939 roku mieszkałam w miasteczku (około 3 kilometry na zachód od Sanu) z rodzicami, starszym ode mnie bratem i siostrą, dokąd rodzice przenieśli się parę lat wcześniej, po przejściu Ojca, oficera Polskiego Wojska, na emeryturę, gdzie miał po rodzicach dom z ogrodem. Wychowywałam się w atmosferze bardzo patriotycznej, pielęgnując wartości kultury, w domu dużo się czytało. Mój ojciec czytywał książki w języku niemieckim. Było pianino, na którym mama koncertowała. Było też radio. Do 4 września 1939 roku było w mieście spokojnie, jedynie brat – jako harcerz lat około 17 – w ramach obywatelskiej samoobrony pełnił dyżury w punkcie obserwacyjnym. W dniu 4 września, gdy odrabiałam lekcje (4 klasa), w pokoju od strony torów kolejowych (dom stał w ich sąsiedztwie) około godziny 13:30 rozległ się huk bombardowań. Uciekając z pokoju szczególnie starannie zamknęłam za sobą drzwi. Pamiętam – sądziłam, że w ten sposób odgradzę się od niebezpieczeństwa. Odtąd przeżywaliśmy trwające prawie bez przerwy bombardowania dworca i torów kolejowych. Ojciec miał nadzieję, że na linii Sanu rozwinie się obrona wojskowa. Zdecydował więc o naszym wyjeździe na Wołyń, gdzie było osadnictwo wojskowe; liczył na możliwość bezpiecznego przeżycia. Jechaliśmy chłopską furmanką – brat na rowerze – nocami, w dzień spaliśmy w lasach, do wiosek wstępowaliśmy po żywność. Coraz częściej mijaliśmy palące się miejscowości, gdzieś w okolicy Zwierzyńca przejeżdżaliśmy przez miejscowość, gdzie dopalały się zgliszcza. Tam gdzieś dopadła nas wieść, że nie ma co jechać dalej, bo podchodzą bolszewicy.

W drodze powrotnej dostaliśmy się między dwie cofające się polskie armie. Na cywilów (nie byliśmy jedynymi) sypały się przekleństwa zdenerwowanych wojskowych. Dopiero po powrocie zobaczyliśmy Niemców. Niedługo potem wojska sowieckie podeszły do Sanu. Rozpoczęło się życie pozorne. Szkoła powszechna niby funkcjonowała, ale nauka ograniczała się do języka niemieckiego, rachunkowości, czytanek z pisma „Ster” na poziomie – powiedzmy – „Świerszczyka” dla trochę starszych dzieci, Uczyla mnie Ukrainka, niewiadomego pochodzenia. Gimnazjum zamknięto. Na szczęście miałam rodziców świadomych zagrożeń narodowych. Wieczorami, gdy rozpoczynała się o godzinie 20-tej godzina policyjna rodzice przystępowali do edukowania nas. Między innymi czytaliśmy na głos dzieła Adama Mickiewicza. Na mnie nie zatarte wrażenie wywarł „Konrad Wallenrod”. Niebawem nowa władza rozpoczęła swoją działalność. Zarządzono rekwizycję wszelkiej broni. Ojciec głęboko upokorzony, płacząc próbował złamać szablę, a gdy się nie poddała – zakopał ją. Następnie wyłapano biedotę żydowską – drobnych handlarzy, rzeźników – i wywieziono na miejsca zagłady. Nagrobkami z żydowskiego cmentarza wybrukowano rynek. Na początku listopada osadzono ojca w więzieniu w Jarosławiu, a po 11-tym (Święto Niepodległości) wypuszczono. Jednak nie na długo – wiosną 1940 roku wywiezio-

no go do Oranienburga. Wywieziono również do Dachau księży. Wcześniej rodzice zdecydowali się wysłać brata do rodziny w Warszawie. Tam wstąpił do AK, pracując w straży pożarnej. Wziął udział w Powstaniu Warszawskim, w batalionie „Kosztą”, po którym drogą przez obozy w Pruszkowie, Łambinowicach pod koniec wojny wywędrował do Szwajcarii. Po zakończeniu wojny, chcącemu wrócić do kraju, oświadczono w ambasadzie PRL, że jako „podpalacz, bandyta” będzie musiał zgłosić się do kolumn roboczych w kopalniach. Wyemigrował więc do Australii.

Rozpoczęło się również życie kartkowe, chleb – jak z trocin, marmolada z buraków, rzadka maź, mydło jak kamień, ścierające się a nie pieniące. Pamiętam również obuwie – trzewiki z tworzywa jak papier, którego niczym nie można było ocieplić.

W maju 1943 roku przeżyliśmy masakrę młodych mężczyzn za działalność konspiracyjną. Część młodzieży wywieziono do pracy w Rzeszy.

Po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej, gdy wojska niemieckie przemieszczały się za San, nie obyło się bez rekwirowania połowy domu na kwaterę oficerów.

W roku 1944 po zajęciu miasteczka przez wojska sowieckie znowu kwatrowali w domu oficerowie – także kobiety – te były w porządku. Jednak zaczęły z domu znikać różne drobne przedmioty, np. wieczne pióro „Pelikan”. Zdarzało się również, że załatwiano się do wanny (ubikacja była na końcu domu).

W PRL silne, przykre przeżycia bynajmniej się nie kończyły, głównie z powodu pochodzenia społecznego, ale to już inna historia.